



STAN ZAWIESZENIA

Zgasił papierosa, przeciął na ukos park i usiadł na ławce. Był znużony i rozczarowany; szereg nieprzespanych nocy miało pewien wpływ na przepętniające go uczucie wielkiego zmęczenia, lecz chyba trafnie domyślał się, że nie tylko w tym leży przyczyna jego stanu. Siedząc na niezbyt wysokiej ławeczce oczekiwał na przyjazd tramwaju, który winien umożliwić mu dotarcie do położonej na odległym wzgórzu dzielnicy miasta. Tramwaj nie nadjeżdżał; widział w tym – może nie całkiem słusznie – kofejny dowód istnienia jakiegoś tajemniczego spisku o ostrzu wymierzonym właśnie w niego, żonatego czterdziestoletniego mężczyznę o nieciekawej twarzy i nikczemnej przeszłości.

Wreszcie tramwaj pojawił się, z ostrym zgrzytem hamulców wynurzając się zza zakrętu. W paradoksalny sposób fakt ten przyjął jako nową obelgę. Tramwaj jest wszakże przyziemny, szary (rozumował). Służy jedynie do przewozu podróżnych i do niczego więcej. Za grosz nie ma w nim wzniosłości, niezwykłości... (Całe życie tęsknił za czymś takim i niezmiennie rzeczywistość odmawiała mu tego).

Jak to! – zdumiał się. Był i nagle zniknął? Przetarł odruchowo oczy. Tramwaje to przecież nie elfy czy krasnoludki, nie znikają ot tak, tak sobie!

Jest! Ale dlaczego wyskoczył z szyn i jedzie wprost na mnie? Czyżby...

Gdy się ocknął, nie wiedział, gdzie się znajduje, ani nawet nie próbował się nad tym zastanawiać. Wokół niego panowała zdecydowana i niezmiennie zakłócona ciemność. Nie mógł jej przebić wzrokiem. Trwał w bezruchu, otępiały, zawieszony w próżni, nic nie widząc i nic nie słysząc. Tak właśnie sobie zwykle wyobrażał t r w a n i e. Jako coś pozostającego poza czasem i przestrzenią, ocierającego się o pojęcie nieskończoności. Lubił to słowo: nieskończoność.

Uważał je za takie precyzyjne i bezgranicznie trafne; chętnie się nim posługiwał, zwłaszcza wobec ludzi, o głupocie których był dobitnie przekonany. Naraz poczuł, że coś z nim zaczyna się dziać.

Wirował. Pewien był, że obraca się dokoła własnej osi i że opada w dół; jak gdyby jakaś przerażająca siła ściągała go w objęcia piekieł.

Pomyślał: umarłem. Pomyślał: zginąłem pod kołami tramwaju – widma. Pomyślał: przyjdzie mi teraz zapłacić za wszystkie zbrodnie, których się na tamtym świecie dopuściłem. Uprzytomnił sobie, że nigdy nie wierzył w nic, a szczególnie w człowieka. Pomyślał: kto wie, czy nie okaże się to wkrótce moim najcięższym przewinieniem, moim największym błędem.

Nadal opadał, ale już w nieco odmiennej scenerii. W jego polu widzenia pojawiły się gwiazdy: pulsujące nierównomiernym blaskiem, martwe, wygasłe, wybuchające w protuberancyjnym skręku, gwiazdy średniej wielkości i jasności, białe karły, czerwone karły, olbrzymy... Przeslizgiwał się między nimi niczym wąż wyślizgujący się przez kraty klatki na wolność; uciekał przed ich grawitacyjnymi polami, których się nie wiedzieć czemu lękał, jakby jemu, tworowi niematerialnemu, złożonemu bodaj z samej świadomości i siły woli, mogły one czymś zagrozić; przeslizgiwał się pomiędzy nimi i ciągle walił się w dół, niby upuszczony z dużej wysokości metaliczny przedmiot.

Skurecz-rozkurecz, pulsowanie całego Universum, erupcyjne podrygi supernowych, gwiazdny chaos, coś jakby koniec istnienia wszechświata, nieustanne kurczenie się kosmicznej przestrzeni, scieśniającej się coraz szybciej i szybciej, aż do niejasnego momentu, w którym zniknęła w ogóle. Nie było już nic: ani pustki, ani czarnych dziur, nie było już niczego. On też przestał już egzysto-

wać nawet jako swego rodzaju niesprecyzowane pojęcie. O dziwo jednak zachował świadomość swojego trwania. Wydawało mu się to krańcowo niezrozumiałe. Skoro nie ma nic, czasu nie wyłączając, to nie powinna istnieć również świadomość. Nie wiedział tylko, za co. Nagle umysł człowieka zalała fala jasności; poczuł uderzenie w głowę i pojął, że staje się na powrót materialny. Spozstrzegł też, że z otaczającej go pustki zaczyna coś wyrastać, że pojawia się w niej jakiś kształt. Podążył w tym kierunku, nie rozumiejąc, na jakiej właściwie zasadzie się porusza.

– Wejdz – usłyszał.

Przepłynął ostatni odcinek przestrzeni i zatrzymał się.

– Usiądź.

Postąpił, jak mu kazano. Usiadł – nie wiedząc, na czym siada, ani jak długo ów tajemniczy sprzęt będzie mu służył.

– Jak się nazywasz?

– Arkik, Leon Arkik – odpowiedział odruchowo. – Dlaczego pytasz? – zreflektował się. – Kim jesteś?

– Dla ciebie nikim.

Zamilkł na moment. Potem rzekł:

– Nie jesteś zbyt uprzejmy. Wyjaśnij mi, jak ja się tu znalazłem i co to wszystko znaczy.

Śmiech; krótki, urywany, ironiczny.

– Dużo chciałbyś wiedzieć. O wiele więcej, niż wiedzieć ci przystoi.

Milczał, niepewny swych dalszych losów. I znowu usłyszał pytanie:

– Ile masz lat?

– Czterdzieści jeden – odparł z rezygnacją. Wyzbył się już nadziei, że dowie się czegoś od swojego niematerialnego rozmówcy. Przekonany był, mimo że nie dysponował na to żadnymi dowodami, że tamten jest tylko złudą, czymś niedoskonałym wyobrażeniem. Jedynie niecodzienne okoliczności owego groteskowego przesłuchania powstrzymywały go od wybuchnięcia śmiechem; tak bardzo to wszystko wydawało mu się ab-

surdalne i nie do pomyślenia w rzeczywistości.

– Miejsce twojego urodzenia? Imiona rodziców? Przynależność państwowa?

Odpowiadał na te pytania po kolei, udzielając wyjaśnień prawdziwych, acz korciło go, by skłamać chociaż raz. Bał się jednak tak postąpić.

– Czy masz coś do dodania?

Poruszył się na tym czymś, na czym siedział – albo zdawało mu się, że się poruszył.

– Nie.

– Naprawdę nie?

– Naprawdę – powiedział zdecydowanie.

Tamten nie odzywał się. – Więc dobrze. Teraz czekaj.

Postanowił nieco spuścić z tonu; dumna nie zawsze popłaca, pomyślał.

– Na co czekać? – I poprawił się zaraz: – Na co mam czekać?

– Na to, co się z tobą stanie.

– A co się może stać?

– Wszystko. Ale nie ja będę o tym decydował.

– Nie ty, kto więc?

– Moi zwierzchnicy.

– Kim oni są?

– Nie za dużo pytań? Zamilcz!

Istotnie umilkł. Tam, gdzie się znajdował, przeniesiony w to miejsce albo za sprawą swej imaginacji, albo za jakąś zewnętrzną przyczyną, pojęcie czasu, podobnie jak i inne pojęcia dotąd mu znane i przezeń akceptowane z większą lub mniejszą dozą wiary, było wyłącznie pustym dźwiękiem, dlatego też nie umiał ocenić, jak długo trwała ta cisza. Mogła to być zarówno wieczność, jak i chwila; w każdym razie jednak to nie on ją przerwał, a tamten.

– Nie bój się mnie. Nie jestem groźny, jak ci się może wydawać. Jestem tylko urzędnikiem, nic w tutejszej hierarchii nie znacząc... – głos tamtego ucichł, stawał się coraz mniej wyraźny, aż zanikł całkowicie. Zaniepokoiło go to tak dalece – dopiero teraz pojął, ile ma jeszcze

pytań do swego rozmówcy – że zaczął go nawoływać i wykrzykiwać jego – nieistniejące – imię. Krzyczał i krzyczał, aż poczuł się zmęczony i wtedy, jakby w nagrodę za jego trud, dobiegł go ponownie głos tamtego.

– ... i w piekle znaleźć się możesz. A jeśli raj przypadnie ci w udziale, to wiedz, petencie, że nawet tam twoja osobowość zostanie poddana pewnym rygorom i ograniczeniom... Nie będziesz wszechmocny; nadal będziesz jedynie człowiekiem... W niebiańskim banku osobowości się znajdując...

Nie więcej nie usłyszał. Wstał – i to go właśnie przeraziło. Zrozumiał bowiem, że znowu posiada c i a ł o . Wstrętne, dolegliwe ciało. Wiedział, że je posiada, że przestał już być tworem niematerialnym. Czuł dotkliwy ból i to go napawało ogromnym lękiem. Bał się piekielnych katuszy i czyszcowych mąk. Obawiał się, że wyrok na niego został już wydany.

Ponownie opadał w dół, obracając się dokoła własnej osi. Wirując postrzegał kolejne obrazy, jakby identyczne z widzianymi uprzednio. Gwiazdy rozżarzone i wygasłe, gwiazdy – olbrzymy, gwiazdy – białe karły, gwiazdy średniej jasności, protuberancje słoneczne i mgławicowe, pył międzygwiazdny, nieprzeliczone rzesze pojedynczych atomów wodoru. Wszystko to niby podobne do poprzednich doznań, a jednak nie takie samo. Coś odróżniało te wrażenia i obrazy od wcześniejszych; nie wiedział co, lecz był przekonany, że nie są one identyczne.

Pędził długim, czarnym korytarzem o ścianach utkanych z gwiazdnej materii i atomowych jąder, spieszył się, jakby u wylotu widmowego tunelu miał natknąć się na Pra-Przyczynę, na pra-atom, od którego nasz Wszechświat wziął swój początek i, z którego istnieniem jest być może związany nasz koniec. Pędził z niewyobrażalną szybko-

cią, zadając kłam prawom fizyki – albo udowadniając ich iluzoryczność – w ułamku sekundy pokonując parseki i lata świetlne, aby w pewnym momencie, w jakiejś niejasnej chwili wydostać się z korytarza i znaleźć się na zalanej słońcem równinie.

Był na Ziemi, z powrotem był na naszym globie, którego może nigdy nie opuszczał.

I tak jak przedtem siedział na ławce.

I tak jak przedtem ujrzał wynurzający się zza zakrętu tramwaj.

Tramwaj jechał wolno, dostojnie. Wydał mu się tworem przyziemnym i pospolitym, niewartym poważniejszego zainteresowania.

I podobnie jak wówczas zniknął mu z pola widzenia. Gdy pojawił się znowu, był już tramwajem metafizycznym, nierealnym, tramwajem – uosobieniem wszystkich jego tęsknot.

Ów odarty z wszelkiej realności pojazd podążał z łagodną powolnością w kierunku ławki, na której siedział. Pomyślał, że powinien podnieść się z niej i zrobić to, ale jakoś od niechcienia i dość pechowo: potknął się i obalił na ziemię. Natychmiast dotarła do jego świadomości myśl, że jednak źle postąpił; że powinien szybciej uskoczyć w bok. Myśl ta złączyła się z potwornym bólem, jaki zawładnął jego ciałem; tramwaj przewracając się po uderzeniu w ścianę budynku, przy którym stała ławka, zmiażdżył mu stopy. Stracił przytomność.

Ocknął się za jakiś czas, nie czuł już bólu, ale pomimo tego, jego ogólne samopoczucie było podłe. Coś – coś, czego nie potrafił nazwać – doskwierało mu i dręczyło. Najchętniej zaczęłby głośno krzyczeć, obawiał się jednakże, iż ściągnie to na niego uwagę, a on pragnął być sam. Zamierzał w spokoju zastanowić się nad swoim położeniem. Głównie zależało mu na rozstrzygnięciu wątpliwości, czy to wszystko co przeżył, nie jest aby jed-

nym długim snem, snem posepnym i złowrogim. Wskazywało na to szereg okoliczności, a najbardziej ta jego nonsensowna rozmowa z dyżurnym urzędnikiem niebios, który niejako, przed przekazaniem go wyższej instancji, załatwiał z nim wstępne formalności, widocznie w takim przypadku nieodzowne. Biurokracja również w niebie? Przecież to bzdura, myślał. Jeżeli istnieje Bóg – w co dotąd nie wierzył – to już z samej Jego definicji, jako doskonałości skończonej i absolutnej, wynika, że żadnych pomocników on nie potrzebuje. – Przeniósłem po prostu swoje doświadczenia z ziemskiego żywota na moje wyobrażenia o tamtym świecie, co jest najlepszym dowodem, że jest to albo sen albo halucynacja.

Uspokojony ułożył się wygodnie w łóżku. Niepokój jednak powrócił. – Halucynacja nie jest wszakże taką banalną przypadłością. Musiałem poważnie zachorować. Może doszło do wojny i strona przeciwna posłużyła się bojowymi środkami chemicznymi? – Przyopuszczenie owo bynajmniej nie wydawało mu się nieprawdopodobne. Jak przez mgłę przypomniał sobie prasowe apele do ludności o zachowanie spokoju i o nieuleganie panice. Tak, to było możliwe.

Ktoś wszedł do salki. Widział tego człowieka, lecz niezbyt dokładnie. Nie potrafiłby rzec, czy tamten jest wysoki czy niski, czy jest kobietą czy mężczyzną. Po chwili zauważył za nim (za nią?) – drugą równie niewyraźną sylwetkę. Unieśli go z łóżka i położyli na wózku. Czuli, że jadą i spostrzegał mijających go, obleczonych w biel przechodniów, zapewne lekarzy lub pielęgniarzy.

Nagle przystanęli. Potem ruszyli znów, tym razem wolniej. Wreszcie zatrzymali się na dobre, znieśli go z wózka i położyli na czymś twardym, nieprzyjemnym w dotyku. Blask świecących lamp utrudniał mu zorientowanie się, gdzie się znajduje. Przypuszczał, iż na

sali operacyjnej, ale było to tylko domniemanie i nic więcej.

„Pacjent gotów?” „Tak, panie doktorze”. „W porządku. Niebawem zaczynamy”. Moment ciszy i później: „Czy to ten z wypadku?” „Tak!” „W jakim stanie go przywieziono?” „Zadowolającym”. „Zatem powinno nam się powieść?” „Też tak sędzę, panie doktorze”. „Zaczynamy”.

Wata. Jaka miękka, puszysta i otchłań. I bezkresne oddalenie. I dziwne, zniekształcone głosy.

– To wręcz niepojęte. Nic nie rozumiem. A pan, kolego, rozumie coś z tego?

– Także przyznaję się do bezsilności. Po raz pierwszy z czymś podobnym się spotykam.

– Ja również. W ogóle nie pojmuję praw rządzących tym organizmem. Żeby kość była nieuszkodzona...

– A na wierzchu sieczka.

– Tak, to zaskakujące. Co robimy?

– Operujemy dalej. Chociaż na dobrą sprawę to bezcelowe.

– Rzeczywiście, piekielnie dziwny przypadek.

– Dziwny! To stanowczo za mało powiedziane!

Nic poza tym do niego nie dotarło. Obudził się o świcie i natychmiast zwróciło jego uwagę, to, że czuje się rześki i wypoczęty, nieomal zupełnie zdrowy, jakby nigdy nie uległ żadnemu wypadkowi. W tej sytuacji jego zamknięcie wydawało mu się absurdem. Postanowił, że ucieknie stąd bezzwłocznie.

Wyjrzał przez okno. Szara, w niektórych miejscach zielonkawa płaszczyzna szpitalnego dziedzińca gwałtownie zaatakowała jego oczy. Przymknął powieki i zaraz otworzył je ponownie. Następnie wdrapał się na parapet i zeskoczył w dół, wprost na kupę piasku przylegającą do ściany budynku. Był wolny, prawie całkowicie wolny. Błyskawicznie pokonał dystans dzielący go od parkanu. W trakcie biegu nie zauważył nikogo; park był opustoszały, jak gdyby le-



karze, pielęgniarze i pacjenci specjalnie na ten czas wycofali się z niego, żeby nie drażnić go swoim widokiem.

Ulica była również pusta, nieskończenie pusta i bezbarwna. Jak okiem sięgnąć – nigdzie nie można było spoznać śladu przechodnia ani pojazdu. Czas jakby stanął w miejscu, przestał płynąć. Powietrze było ciężkie, nagrzane. Szedł wolnym krokiem, nie poznając mijanych skrzyżowań i bloków, lecz mimo to był absolutnie pewien, że trafi w końcu do swojego mieszkania. Wreszcie przystanął.

To tutaj, pomyślał. Wysokościowiec, przed którym się zatrzymał, niczym szczególnym od innych się nie różnił; był szary, posępny, nijaki. Wszedł do windy i wcisnął przycisk oznaczający ósme piętro. Podczas jazdy starał się nie myśleć o niczym. Wysiadł i zadzwonił do swoich drzwi. Nie zdziwił go widok żony stojącej na progu. Wyminął ją bez słowa i zagłębił się w fotelu. I w tym momencie poraził go strach. Przecież to już było! Przecież tę scenę już kiedyś przeżyłem! W chwilę po wyjściu z domu cofnąłem się z powrotem, ponieważ zapomniałem czegoś i tak jak teraz wyminałem bez słowa żonę i usiadłem w fotelu. Co zrobiłem potem? Chyba nic, o ile nie liczyć sięgnięcia po papierosy (po które prawdopodobnie zawróciłem). Nie zdążyłem jednak wziąć ich do ręki. Przeszkodziła mi w tym, kiedy weszła do pokoju i zapytała... o co ona zapytała?

– Przyszedłeś po receptę?

Odwrócił powoli głowę.

– Cofnąłeś się po receptę, prawda kochanie? Zapomniałeś jej wszakże...

Tak, na pewno już to przeżył. W ułamku sekundy zrozumiał, że jego obawy nie były bezpodstawne. Wrócił do domu, ale w ten sam czas – nie upłynęła ani minuta od poprzedniego opuszczenia mieszkania. Nigdy nie siedział na ławce czekając na przyjazd tramwaju, nigdy nie był w szpitalu, znikąd nigdy nie

uciekł. To wszystko po prostu przyśniło mi się. A jeżeli nie? Cóż to wobec tego oznacza? Może to, że jednak wtedy umarłem naprawdę! Czymże więc są moje późniejsze przeżycia? Snem, odpowiedział sobie. Długim, koszmarnym majakiem niematerialnej istoty poddanej licznym rygorom i ograniczeniom...

Wstrząsnął nim zimny, przejmujący dreszcz.

– Kochanie, pójdziemy dzisiaj do teatru, prawda? Tak dawno nie byłem w teatrze... Chcę pokazać się w nowej sukience, ponadto zależy mi bardzo na obejrzeniu tej sztuki. Podobno dobra, wiesz?

Wstał i z całej siły uderzył żonę w twarz. Nie mógł znieść jej szczebiotu. Spodziewał się, że ona przewróci się na dywan (cios był przecież potężny) i nawet trochę mu się jej zrobiło żal, przekonał się jednak ze zdziwieniem, że nie stało się nic. Żona w dalszym ciągu namawiała go na pójście do teatru. Mówiła i mówiła, aż nie wytrzymał i znowu dzielił ją pięścią w twarz, z identycznym skutkiem. I już wiedział, zdobył tę upragnioną pewność. Stojąca przed nim kobieta nie była jego żoną, lecz jej w y o b r a ż e n i e m. Nie posiadała ciała, nie reagowała na ciosy. Była tylko i wyłącznie złudą, jedną z postaci z jego snu...

Wybiegł z mieszkania, zjechał windą w dół, wsiadł do jakiegoś wozu i rozpoczęła zgoła piracką jazdę ulicami miasta. Rozumował, że co by nie uczynił, to i tak nie wycisnie to na niczym swojego piętna. Myślał: nawet jeśli kogoś przejadę, to będzie to jedynie zjawą. Nie mam się zatem czym niepokoić, nie ma sensu też troszczyć się o czyjeś bezpieczeństwo, a już najmniej o swoje własne. Umiera się tylko raz. Nie można umrzeć dwukrotnie.

Z rozważań tych wyrwał go dźwięk tłuczonego szkła. Zerknął w lusterko i zauważył, że tylna szyba w jego wozie jest rozbita, przestrzelona.

Skręcił w boczną uliczkę i zaraz tego pożałował. Musiał zwolnić i wówczas tamci zaczęli go doganiać. Wóz policyjny był tuż, tuż za nim; nieprzerwanie obsypywano jego auto seriami z broni maszynowej, dziurawiąc je w wielu miejscach, jego samego jednakże nie raniąc ani razu.

Pomyślał, że to nieprawdopodobne. Któryś z tych pocisków powinien mnie w końcu trafić. Zatem naprawdę jestem zjawą.

Wydostał się z uliczki, gdzie zaatakowano go tak niespodziewanie i wjechał na autostradę, po szaleńczej jeździe trwającej przynajmniej kilka minut zostawiając policjantów daleko z tyłu i uspokajając się stopniowo. Nagle wozem jego zarzuciło, coś (co?) zepchnęło go na pobocze drogi, tam samochód zderzył się z czymś, co przypominało do złudzenia podmiejską willę, i był to ostatni obraz, jaki zapamiętał.

Gdy na nowo wrócił do rzeczywistości, stwierdził ze znużeniem, że siedzi na ławce i czeka na tramwaj.

Oczekiwanie znużyło go i uspiło jego czujność, tak iż omal nie przegapił momentu, w którym tramwaj nareszcie się pojawił. Wskoczył do niego z zadziwiającą zwinnością i usiadł na krzeselku. Potem skasował bilet i pogrzyżył się w zadumie; myślał o mających się jutro rozpocząć zawodach sportowych i o tym, czy jego faworyt odniesie w nich zwycięstwo.

– Proszę bilety do kontroli.

Wykonał to polecenie i znowu wrócił myślą do wyścigów.

Wysiadł dopiero na krańcowym przystanku. Padał deszcz: cienkie strumyki wody spływały mu po twarzy, drażniąc go swym chłodnym dotykiem. Szedł wolno, niespiesznie, nie zastanawiał się nad niczym. Gdy deszcz ustał, zorientował się, że stoi przed swoim domem.

Bezszelestnie otworzył drzwi kluczem i wszedł do środka. Żona podeszła do niego i powiedziała:

– Jak dobrze, że już wróciłeś, kochanie. Wykupiłeś lekarstwa, nie zapomniałeś o nich?

Nie odpowiedział, wyminął ją bez słowa i zagłębił się w fotelu.

– Znając ciebie, przypuszczam jednak, że nie wykupiłeś!

Podniósł głowę, przedtem opuszczoną w dół i rzekł:

– Przydarzyło mi się coś strasznego. Nie wiem, jak ci o tym powiedzieć.

– Spodziewałam się, że zapomnisz o lekach. Absolutnie nie można na ciebie liczyć.

Cóż za potworne głupstwa ona opowiada! Zdenerwowany, uniósł się z miejsca i pchnął żonę na kanapę. Przewróciła się. Przewróciła! Spoglądał na nią ze zdumieniem. Kimże ona właściwie jest? Zjawą czy istotą rzeczywistą? Chyba raczej tym drugim, skoro w ogóle upadła. A więc... a więc i ja także istnieję! Mam ciało, twarz, głos... żyję – i będę zapewne żył jeszcze długo! Koszmar się skończył! Skończył! Już koniec, koniec!

Czuł, że jest szczęśliwy. Z sympatią przypatrywał się żonie (której normalnie nie cierpiał). Wyglądała na niezbyt zadowoloną. Nie dziwił się jej. Postanowił, że wynagrodzi żonie wszystkie przykrości, jakich od niego doznała przez te lata razem spędzone i wypełnione chwilami wspólnego cierpienia.

Potem leżał na kanapie i myślał, jak to dobrze posiadać kogoś bliskiego, kogoś, komu można bezwzględnie zawierzyć. Po paru minutach wstał i powłókł się do łazienki. I tam strach zaatakował go ponownie. Długo wpatrywał się w lustro, w którym nie było widać odbicia jego postaci. Lustro było ciemne. Z lękiem, rozpaczą i nadzieją dotknął jego powierzchni, ażeby przekonać się, czy czasami nie jest ona brudna lub pokryta jakimś nie przepuszczającym światła materiałem...